

Rzeka

— Płynie powoli, leniwie, czasem wzbierze i sięgnie ci do kolan albo do piersi. Ot, taki naszedł ją chwilowy kaprys. Przyzwyczajasz się i myślisz, że tak będzie już zawsze, więc kiedy sięgnie wyżej niż zazwyczaj sięgała, ogarnia cię przerażenie. Krzyczysz, słowa grzęzną ci w gardle. Chcesz uciekać, nogi masz z ołowiu. Łudzisz się, że to sen, ale rzeka podnosi się nieubłaganie. Stajesz na palcach, krztusisz się, dławisz i dopiero wtedy widzisz, jakie kruche jest życie — mówił stojący na brzegu rzeki mężczyzna o pospolitym wyglądzie, ubrany w wytarte dżinsy i wypuszczone na wierzch niebieskie polo z krótkimi rękawami.

— Człowieku, o czym ty gadasz? — zachnął się krępy, niski mężczyzna. Stał kilka kroków od brzegu. Woda sięgała mu do kolan. Mocował się z wędką, która zaczęła o coś na dnie rzeki. — Ja jestem normalny, rozumiesz? Normalny — powtórzył mocno akcentując poszczególne głoski. — Tamtym — pokazał krótkim ruchem głowy na piętrzący się ponad nim betonowy most — może być wszystko jedno. Mnie, nie! — krzyknął, szarpiąc wędziskiem.

Mężczyzna w niebieskim polo spojrzał w górę.

Na moście stało kilkanaście osób, obserwując z góry z zacięciem dziwne zachowanie wędkarza.

— Może raczej zamiast tak szarpać i szarpać, lepiej by było podciągać — powiedział mężczyzna w niebieskim polo.

— A co ja robię?

— W takim razie trzeba iść pod most i tam sprawdzić, na miejscu.

— Z tym? — mężczyzna podniósł wędzisko i zamajtał nim na wszystkie strony.

— Niech pan podejdzie dalej, może spławik spłynie z prądem i wtedy samo się odhaczy.

— Łatwo powiedzieć, podejdzie — zdenerwował się wędkarz. — Tam będzie ze cztery metry. A ten wir? Przecież stąd widać, że przy podporze kręci jak diabli.

— To nie jest żaden wir, tylko opływ. Woda załamuje się na podporze, opływa ją i robi fałdę.

— Wir czy fałda, ja tam tego sprawdzałem nie będę.

— I to ma być rybak — westchnął mężczyzna w niebieskim polo.

— Człowieku, mnie wcale nie jest do śmiechu — jęknął wędkarz, zrobił w wodzie kilka kroków macając ostrożnie stopami grunt, lecz kiedy tylko woda sięgnęła mu do pasa, zatrzymał się i znowu zaczął wymachiwać wędką na wszystkie strony. Napięta żyłka wygięła wędzisko w łuk, jej koniec ginął w ciemnej toni, tuż przy betonowej podporze podtrzymującej główne przęsło mostu.

Rzeka w tym miejscu płynęła leniwie, szeroko rozlana sprawiała wrażenie zastygłej w bezruchu. Wiszące nad rzeką słońce odbijało się w wodzie, raziło w oczy.

— Pijaczek — rzucił wędkarz mimowolną uwagę.

— Nawiedzony — sprzeciwił się mężczyzna w niebieskim polo.

— Eee — zwątpił wędkarz. — Albo napity, albo naćpany.

— Nawiedzony — upierał się mężczyzna w polo. Palił papierosa, wydmuchując dym przez nos albo odchylając głowę do tyłu, wypuszczał z ust kształtne kółeczka.

— Raczej zawiedzony — powiedział wędkarz, starając się gwałtownymi szarpnięciami zerwać żyłkę.

Mężczyzna w niebieskiej koszulce wzruszył ramionami.

— Żona? Kochanka? Dziewczyna? — wyliczał wędkarz powoli, z namysłem starając się wciągnąć do rozmowy stojącego na brzegu mężczyznę, a gdy nie doczekał się odpowiedzi, ciągnął dalej. — Znam podobny przypadek. Że podobny, to ja tylko tak mówię — usprawiedliwił się — ponieważ z każdym jest inaczej. Tamten wracał do domu podпиты, siadał w kuchni przy stole, napił się w okno

i nie odezwał się słowem do nikogo. Nic do niego nie docierało. Siedział, patrzył w okno, milczał, potem podnosił się, szedł do stajni, brał stółek do dojenia krów, na ramię zarzucał łańcuch, na którym wiązano krowę, i do ogrodu, między drzewa. Syn łapał go za rękę, ciągnął ojca do domu. Żona klękała, chwytala męża wpół, zaklinała go na wszystkie świętości. On szedł. Stółek kołysał się w jego ręce, łańcuch pobrzękiwał na jego ramieniu, a on szedł pod szarą renetę. Dlaczego pod nią? Licho wie. I tak prawie co miesiąc przez kilka lat. I zawsze w dzień, zawsze w pełnym słońcu, zawsze w obecności licznej widowni. Bo byli tacy, którzy gustowali w tym widowisku i nie potrafili odmówić sobie przyjemności śledzenia zdarzeń, chociaż ich kolejność i finał były zawsze takie same. Można nawet powiedzieć, że stały się rytuałem.

— No to mieli darmowe przedstawienie.

— Mieli, ale do czasu. Któregoś dnia żona nie upilnowała go, no i powiesił się — odparł wędkarz.

— Na łańcuchu?

Wędkarz skinął głową.

— Nawiedzony — mruknął mężczyzna w niebieskiej koszulce, położył na wskazującym palcu niedopałek papierosa, przycisnął go kciukiem i pstryknął.

Ogarek śmignął w górę, zatoczył w powietrzu łuk i wpadł do wody.

Mężczyzna patrzył chwilę na rzekę, po czym szybkimi zdecydowanymi ruchami zrzucił z siebie ubranie, wszedł do wody i rozgarniając ją rękami, przesuwiał się w stronę betonowego filara, przy którym, tuż pod powierzchnią wody, kołysał się ciemny, wydłużony kształt. Zatrzymał się przy filarze, nabrał powietrza i zanurkował. Po chwili wystawił głowę z wody i krzyknął do wędkarza:

— Ciągnij!

Wędkarz szarpał wędziskiem, wywijał nim na wszystkie strony, popuszczał na kołowrotku żyłkę, zwijał ją, to znowu rozwijał, w końcu zaklął głośno, rzucił wędkę na brzeg rzeki i ruszył pod betonowy filar.

Chwilę później mężczyźni wyciągnęli na brzeg zwłoki i ułożyli je na wznak. Jeden koniec mocnego sznura opasywał napuchnięty

jak balon brzuch topielca, drugi obwiązywał potrójnym splotem kawał betonu, do którego przywiązane były za nadgarstki splecione z przodu ręce ofiary.

— No — wysapał przejęty wędkarz — ten kłopot mamy z głowy.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował i mruknąwszy tylko niewyraźnie pod nosem, odpiął od koszuli topielca żółty, błyszczący haczyk, wytarł go starannie flanelową szmatką, włożył go do blaszanego pudełeczka, zatrzaskał wieczko i spojrzał w górę.

Na moście stało kilkunastu gapiów, obserwując z góry poczynania obu mężczyzn. Mały, pucułowaty chłopczyk w krótkich spodniach, trzymany w pasie przez tęgiego brodacza w czerwonej baseballówce, siedział okrakiem na balustradzie i puszczał papierowe jaskółki. Białe ptaki, pędzone lekkim wiatrem, szybowały majestatycznie po spokojnym, morelowym niebie.